

ORFEUM
WARSZAWSKIE
W ROKU 1910.



Orfeum Warszawskie w roku 1910.

Urywek z dziennika p. Johna Plum'a, milionera amerykańskiego, który przedsięwziął podróż do Europy celem poznania „Orfeum Warszawskiego“ i jego dyrektora, p. Fajntucha.

Z oryginału przepisał — Marek New-Twain.



BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-35

Warszawa 1905.




19.407






IR IDELSACK miał słuszość. Trzydzieści dwie dwugodzinne lekcje języka polskiego według metody Berlitz-Pemberton pozwoliły mi opanować ten trudny i niewdzięczny język. Uczyć się w czterdziestym roku obcego języka jest ciężko; nie zdobyłbym się na to, gdyby nie myśl, która od roku ani na chwilę mię nie opuszcza. Poznać „Orfeum warszawskie“ i jego dyrektora! Oto marzenie moje!

Każdy artykuł „New York Herald“ z wiadomością o nowym pomysle dyrektora Fajntucha (który to pomysł natychmiast chwytali dyrektorowie podobnych zakładow całego świata) — każdy taki artykuł wbijał mi nowego ćwieka do mózgu. Raz jeden być tam,



zobaczyć wszystko na własne oczy, a zwłaszcza ujrzeć tego gienjalnego człowieka, przed którym nieboszczyk Barnum i jemu podobni w prochu tarzaćby się winni! Oto były myśli, które świdrowały mi mózg do samej głębi.

Nie wiem, coby zrobił na mojem miejscu Francuz lub Niemiec. Co do mnie, zdecydowałem się nauczyć po polsku, zdecydowałem się oderwać od mej słodkiej Edyty i od drogich moich dzieciąt, zdecydowałem się porzucić wszystkie interesa i postanowiłem udać się po raz pierwszy do Europy, ażeby wprost z Hamburga podążyć do Warszawy...




Umiem po polsku!

Przekonałem się o tem dowodnie i zdobyłem sobie już nawet przyjaciela-Polaka.

Dojeżdżałem do Warszawy. Byłem w przedziale sam. Nagle otworzyły się drzwi. Wszedł jakiś gentleman ujmującej powierzchowności i nastąpiwszy mi na nogę, usiadł naprzeciwko. Uważałem ten jego ruch za chęć zawarcia znajomości; jakoż nie omyliłem się. Po kilku minutach rozmowa się zaczęła; dowiedziałem się, że ów gentleman nazywa się hr. Nic-Poniński i jedzie do Warszawy na wieczór „egzotyczny“, który odbędzie się w „Orfeum“ dzisiaj właśnie. Powiedziałem mu, że odbyłem tak daleką podróż celem poznania „Orfeum“. Nie zdziwiło go to wcale.

— Ależ to zwykłe rzeczy — odrzekł — Rzym ma Koloseum, Paryż ma wieżę Eiffla, Wenecya ma gondole, my mamy „Orfeum“. Cudzoziemcy ciągle do nas przyjeżdżają. Oto i w tym pociągu jedzie dwóch Hiszpanów



i jeden Włoch. Jadą na wieczór egzotyczny; no, ale też Fajntuch miał świetną myśl!..


Tutaj nachylił się do mnie i szepnął mi coś do ucha, poczem wybuchnął śmiechem. Nie dosłyszałem, co mówił, lecz było mi wstyd, więc udałem, że rozumiem.

Tymczasem hrabia śmiał się. Po chwili dodał:

— To pyszne... bajadery indyjskie... niech go djabli porwą... przecie to warszawskie , no ale pomysł jest.

Wyznaję, że nie zrozumiałem, co hrabia chciał powiedzieć, tembardziej, że użył wyrazu, którego w podręczniku Berlitz-Pember-tona nie spotkałem. Ale nie chciałem pokazać tego.

Gdyśmy tak rozmawiali, nagle z trzaskiem otworzyły się drzwi przedziału. Wysoki mężczyzna w kurtce bordeaux ze srebrną lamą i w czapce, na której widniał napis: „Orfeum Warszawskie“, stanął przed nami. Pod pachą miał grubą plikę olbrzymich arkuszy. Spojrzał



na nas badawczo, poślinił palce, wziął dwa arkusze, położył je na poduszkach wagonu i trzasnąwszy drzwiami wyszedł.

Wziąłem arkusz do ręki. Na zielonym papierze widniał amarantowy napis:

☒ ORFEUM WARSZAWSKIE ☒

Nr. 4 Piątek 13 marca 1910 r.
o godzinie 9 wieczorem


WIECZÓR EGZOTYCZNY

12 bajader indyjskich 12

2800 losów. — Obydwie boczne sceny działają. — Kinematograf. — Sala złudzeń. — Tunel. — Cukiernia. — Restauracja.

☒ **GABINETY** ☒

Trzymałem afisz długą chwilę w rękę, lecz nie rozumiałem jego treści. Spozrzegł to mój towarzysz, to też niezwłocznie wyjaśnił mi jego znaczenie. Oto ów wieczór egzotyczny




jest czwartem z kolei przedstawieniem w ciągu dnia dzisiejszego, gdyż przedtem odbyć się mają widowiska: poranne, familijne i dziecinne. Każdy, kto kupi bilet na ten wieczór, ma prawo sięgnąć do koła, zawierającego losy; o ile szczęście mu dopisze i wyciągnie los pełny, przysługuje mu prawo do kolacyi z szampanem w towarzystwie jednej z bajader.

Tymczasem podjeżdżaliśmy już do Warszawy. Pociąg podskakiwał i zgrzytał na węksłach. Przez okna pociągu ujrzałem szereg okopconych dymem ścian, na których widniały olbrzymie ogłoszenia. Zacząłem je czytać i ujrzałem całą ścianę, świeżo zamalowaną ogłoszeniem o dzisiejszym wieczorze egzotycznym.

Nie mogłem oprzeć się i głośno wyraziłem zdziwienie. Hrabia uśmiechnął się i powiedział:

— To, co pana zadziwia, na nas wrażenia już nie robi. Takich ogłoszeń jest kilkanaście w mieście. Co noc kilkuset rzemieślników




pracuje przy świetle elektrycznem i przemalowuje te afisze. To bagatela w porównaniu z tem, co Fajntuch wyrzuca na reklamę.


Nareszcie pociąg stanął.

Zaczęliśmy się żegnać; hrabia był tak uprzejmy, że obiecał zająć się kupieniem biletu i przyrzekł wstąpić po mnie do „Brystolu“ przed wieczorem. Przed rozstaniem poprosił mię o pożyczanie mu drobnej kwoty pieniężnej, co uskuteczniłem najchętniej.

Na peronie panował ścisk niesłychany. Jak się potem dowiedziałem, na dzień ten z powodu wieczoru egzotycznego uruchomiono kilkanaście pociągów nadzwyczajnych. Przy wyjściu z peronu spostrzegłem okienko z napisem: „Kasa Orfeum Warszawskiego“. Widniała nad niem tablica: „Wszystkie bilety na Wieczór egzotyczny sprzedane“. Nie zmartwiło mię to jednak, bo hrabia ma stosunki w zarządzie w „Orfeum“ i obiecał z pewnością dostać dla mnie bilet.




Wyborna dorożka lotem ptaka zawiozła
mnie do „Brystolu“, gdzie zająłem elegancki
apartament i położyłem się, ażeby odpocząć
po trudach długotrwałej podróży. Rozmyśla-
łem o gienjuszku Fajntucha, a radosna świa-
domość, że znajduję się w mieście rodzinnem
tego króla reklamy, ukołysała mnie do snu
słodkiego i pokrzepiającego.



O ósmej byłem już ubrany i oczekiwałem na hrabiego. Jakoż po chwili hrabia się zjawił. Pojechaliśmy.

Po drodze mieliśmy niemiłe wydarzenie. Oto woźnica, skręcając w jedną z ulic, musiał zatrzymać się, gdyż zebrany tłum zagroził nam drogę. Hrabia, zaniepokojony tem, wyskoczył. Po chwili wrócił, woźnica skręcił w inną ulicę i pojechaliśmy dalej. Zapytywałem hrabiego o przyczynę zbiegowiska. Odpowiedział, że jakaś uboga kobieta zaniemogła ciężko skutkiem głodu i że właśnie spodziewano się przybycia pomocy lekarskiej. Wyznaję, że fakt ten zdziwił mię bardzo, sądziłem bowiem, że miasto, w którem powstało „Orfeum“, musi być bardzo bogate.

— Wcale tak nie jest — powiedział mi hrabia — jest tu sporo biedy, jednak zwalcza się ją powoli, a samo „Orfeum“ przeznacza dochód z dwóch wieczorów w ciągu roku na rzecz biednych.




Powóz zatrzymał się, a smuga jaskrawego światła wskazała, że jesteśmy u celu.

Po szerokich stopniach weszliśmy do olbrzymiego przedsionka, w którym przechadzał się tłum strojnych mężczyzn. Zostawiliśmy tutaj nasze futra i poszliśmy w stronę sali. Przy głównym wejściu spostrzegłem na wzniesieniu olbrzymie koło, przy którym siedziała jedna z bajader. Naokoło niej panował tłok niesłychany: popychano się, szturchano, wymyślano wzajemnie. Było to owo losowanie.

Urok cudnej bajadery podziałał w pierwszej chwili i na mnie; opanowałem się jednak, a wspomnienie mej słodkiej Edyty pozwoliło mi z tem większą swobodą oddać moje prawo do losu hrabiemu.


Długo czekałem, zanim hrabia docisnął się do koła. Wrócił zły, w pomiętym fraku, z dwoma pustemi losami.

Weszliśmy na salę. Było już prawie pełno. Parę tysięcy mężczyzn we frakach i smokin-




gach rozmawiało głośno w widocznem podnieceni, bądź stojąc grupami, bądź przechadzając się. Dowiedziałem się od hrabiego, że damy uczęszczały do „Orfeum“ w pierwszych latach jego istnienia. Interes jednak początkowo nie szedł, to też dyrektor Fajntuch wkrótce począł urozmaicać programy wieczorów atrakcjami w rodzaju dzisiejszych bajader. Wówczas panie przestały chodzić na przedstawienia wieczorne, ale za to interesy zakładu poszły odrazu znakomicie, zwłaszcza, gdy urządzono w podziemiach tunel z restauracją o damskiej obsłudze, wraz z kilkudziesięciu gabinetami. Dziś kurs akcji „Orfeum“ jest kilkakrotnie wyższy, niż ich cena nominalna; prawie wszystkie znajdują się w posiadaniu trzech rodzin arystokratycznych i przynoszą bajecznie wysoką dywidendę.

Docisnęliśmy się z trudem do miejsc naszych. Zbiegiem okoliczności mieliśmy za sąsiadów dwóch recenzentów pism miejsowych.




Hrabia znał tych panów, to też zapoznał mię z nimi, przyczem uśmiechnął się ironicznie i szepnął mi do ucha: „blondyn jest z zawodu weterynarzem, a szatyn przedsiębiorcą pogrzebowym, obaj piszą jednak o muzyce, uważając to za „dochód poboczny“ — zresztą pomów pan z nimi: zobaczysz, co to za znawcy“. Widziałem, że osoba moja interesuje tych panów, to też korzystając z okoliczności, że orkiestra dopiero zaczęła się gromadzić na estradzie, wdałem się z nimi w rozmowę. Dziwni ludzie! Na wszystkich punktach różnili się z sobą w przekonaniach. A już co do Fajntucha, to zdania ich różniły się krańcowo. Osoba dyrektora „Orfeum“ zajęła ich tak mocno, że zapomnieli zupełnie o naszej obecności i dysputowali głośno, pomimo, że na estradzie pojawił się kapelmistrz i że orkiestra rozpoczęła już pierwszy numer programu. Muszę wyznać, że głośna rozmowa tych panów denerwowała mnie i przeszką-



działa słuchać muzyki. Kilka osób syknęło. Chcąc nie chcąc, słuchałem, o czym krytycy mówią. Spierali się ciągle o osobę dyrektora „Orfeum“. Blondyn był jego antagonistą, to też znieawidziłem go. Za to poczułem sympatię do szatyna, który bronił Fajntucha i wysoko podnosił jego zasługi; zwłaszcza trafiły mi do przekonania następujące słowa szatyna:


— Czy pan nie pojmujesz, że reforma, której dokonał w sztuce Fajntuch, równoznaczną jest dziełu Bismarka?! Żelazny kanclerz zjednoczył w jedno wielkie mocarstwo powaśnione z sobą państewka; Fajntuch zrobił to samo w sztuce. Od chwili powstania „Orfeum“ wszyscy muzycy tworzą jakby jedną wielką rodzinę: tutaj Bach z Ofenbachem podają sobie po przez wieki dłonie, a cień Beethovena, uchwyciwszy w pół bosonogą Dunkana, wykręca nią w dzikim szale namiętnego cakewalk'u!..



Blondyn, słuchając wywodów szatyna, uśmiechał się sarkastycznie i zrobił złośliwą aluzję do łask, które rzekomo miały spływać na szatyna z rąk Fajntucha wzamian za życzliwość dla zakładu.

To wprowadziło szatyna w pasję. Rozmowa stawała się coraz głośniejszą; wszyscy odwracali się i sykali. To też, rozprawiając dalej, panowie ci wstali i poszli w stronę drzwi, prowadzących do tunelu. Gdy drzwi te się otwarły, z głębi doleciał zmieszany gwar głosów, nad którymi górował piskliwy sopran jakiejś subretki. Hrabia objaśnił mi, że w tunelu odbywa się teraz inne przedstawienie, zbliżone do typu tingl-tanglów.

Pierwsza część programu wieczoru egzotycznego składała się z kompozycji poważnych, osnutych na tle egzotycznym. Była więc „Sakuntala“ Goldmarka i cały szereg innych utworów. Nie jestem amatorem ciężkiej muzyki, to też po wysłuchaniu dwóch pierwszych




numerów poszliśmy z hrabią w ślad recenzentów i zeszliliśmy do tunelu. Jakaż wesołość panowała tutaj! Kilkuset panów siedziało za stolikami; w jarzącym się świetle lamp błyszczwały tysiączne kryształowe ozdoby i kieliżki z winem; między stolikami uwijał się rój cudnych dziewcząt w powiewnych strojach à la Duncan, zaś w głębi, na estradzie, dama w długiej sukni i czarnych rękawiczkach śpiewała znaną piosnkę:

Tak, tak, taaak —
W tem cały życia smak,
W tem cały sztuki sens...

.


Muszę się przyznać, że gdyśmy usiedli za stolikiem i gdy podbiegła do nas figlarna blondynka o ciemnych, cokolwiek skośnych oczach, musiałem całą siłą woli przywołać obraz mej drogiej Edyty, ażeby nie uszczyplnąć jej w świeży policzek.



Rozkosznie było siedzieć w tym tunelu. Życie tętniło i musowało tutaj, jak szampan w kieliszkach. Wesołe śmiechy, niecierpliwe wykrzyki dziewcząt, napastowanych przez gości, mieszały się ze śpiewem zmieniających się co chwila szansonistów i szansonistek.

Spędziliśmy w tunelu około godziny. Hałsem do powrotu na górę było tłumne porwanie się wszystkich z miejsc, spowodowane wiadomością, że zbliża się najciekawszy numer programu, występ owych bajader.

Sala wyglądała obecnie zupełnie inaczej. Orkiestry na estradzie już nie było, natomiast skierowano światła reflektorów na jedną ze scen bocznych. Po chwili rozsunała się zasłona, rozległy się dźwięki dziwnej orkiestry, złożonej z wrzaskliwych piszczałek, i na scenę wypadło w dzikich podskokach dwanaście śniadych, czarnowłosych bajader. Taniec ich był dziwnie oryginalny. Gibkie ciała gięły się w rozkosznych ruchach, malując to pożądanie




zmysłowe, to przesyt, to znów smutek i gorczy.

Na zakończenie stanęły rzędem i wykonały charakterystyczny *danse du ventre*, który pobudził publiczność do frenetycznych oklasków.

Kurtyna zasunęła się. Przedstawienie było skończone. Publiczność poczęła się rozchodzić, przyczem z zazdrością przeprowadziła wzrokiem dwunastu szczęśliwców, którzy trzymając w pół bajadery przeszli tryumfalnie przez salę, kierując się w stronę tunelu.

I dla mnie zbliżała się radosna chwila, gdyż hrabia obiecał zapoznać mię z dyrektorem. Nareszcie będę mógł uścisnąć dłoń tego gienjalnego człowieka!

Poszliśmy do jego gabinetu. Niestety już go tam nie było. Hrabia objaśnił mię jednak, iż w piątki odbywają się u dyrektora zebrania, że więc obecnie Fajntuch musi już być u siebie. Skierowaliśmy się więc w stronę jego mieszkania. Przedpokój zawałony był



futrami, z salonu dolatywał gwar liczego towarzystwa. We drzwiach hrabia nagle się zatrzymał i rzekł:

— Proszę pana, niech mi pan daruje, ale ja tam z panem nie wejść. Niech pan idzie sam, tego nikt panu za złe nie weźmie. Fajnych wie już o pańskim przybyciu i z pewnością będzie uszczęśliwiony...


— Dlaczego pan nie wchodzi? — zapytałem.

— Widzi pan, to się nie da w paru słowach powiedzieć, ale... uważa pan... że się tak wyrażę... my miejscowi musimy się nieco liczyć z opinią.

Nie było więc rady, poszedłem sam. I nie pożałowałem tego.

We drzwiach do salonu powitał mnie sam dyrektor. Jedno spojrzenie w jego bystre i przenikliwe oczy dało mi pewność, że mam przed sobą znakomitego twórcę „Orfeum“.

Dyrektor wiedział już o mnie wszystko,



wiedział nawet, w którym numerze hotelowym mieszkam.

Trudno mi opisać wzruszenie, jakie mną owładnęło w chwili, gdy dyrektor ujął mnie pod ramię i podprowadził do swej małżonki, a później zapoznał mnie z towarzystwem. Był to, według jego zapewnienia, kwiat inteligencji miejscowej, a prócz tego kilkanaście osób, przybyłych tak samo, jak ja, ze stron odległych.

Spędziłem w tem miłym gronie parę niezapomnianych godzin.

Gdy wszyscy zaczęli się rozchodzić, miałem raz jeszcze sposobność uścisnąć dłoń znakomitego dyrektora, to też postarałem się wyrazić, jak umiałem, mój zachwyt i uwielbienie dla jego gienjuszu.

Zeszedłem jeszcze raz do tunelu, gdyż hrabia tam miał na mnie czekać. Znalazłem go z trudem; siedział w jednej z nisz w towarzystwie figlarnej blondynki i był mocno podochocony.

Uregulowałem nasz rachunek (nawiasem mówiąc, nieco słony) i wyszliśmy.


Nazajutrz rano miałem wyruszyć w drogę powrotną, spieszno mi więc było do hotelu. Przed rozstaniem hrabia zwierzył mi się, że jest obecnie w kłopotach finansowych i prosił o małą pożyczkę; ma się rozumieć, prośbie jego uczyniłem niezwłocznie zadość, poczem pożegnaliśmy się najserdeczniej.

Długo nie mogłem usnąć. Przed zamknięciem oczami przesuwały mi się obrazy dopiero co widziane, a po mej głowie snuł się aforyzm jednego z wielkich pisarzy polskich, który mi powiedział w rozmowie hrabia:


Ruja i pieniądze —
To świata wrzeciądze!







INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 78
Tel. 26-68-69



<http://rcin.org.pl>

F 19.407



F

19.407